ROZMAITOŚCI.

Dnia 13 marca, Nr 11. roku 1847.

KUPIONA DUSZA.

Ze wszystkich lekarzy armii francuzkiéj w owych wojennych latach, które widziały wzniesienie się i upadek nowego Cezara, nie miał żaden tak głośnéj sławy, jak doktor Martelin. Miano go powszechnie za pierwszego operatora swego wieku, a jeszcze długo później, mówiły dzienniki lekarskie o jego nadzwyczajnéj śmiałości przy operacyjach, i o jego prawdziwie cudownych arcydziełach sztuki chirurgicznéj. Był on na pozór oziębły, groźno ponury; co w pacyjentach bynajmniéj błogiego zaufania nie wzbudzało; jednakże, chociaż z niejaką trwożną pewnością, chętnie mu się powierzali. Jego silna, koścista budowa ciała, jego krnąbrna moc ducha; czyniły go niejako podobnym do atlety, który przeciw najzaciętszym chorobom, jakby naprzeciw drapieżnym zwierzętom, był zawsze gotów zwycięzko stanąć do walki. Zresztą, był on małomownym i czczego uczucia, a swémi sondami i wszelakim chirurgicznym przyrządem, uzbrajał się bardziéj, że tak powiémy, jako dorywczy tylko ochotnik i partyzant ludzkości, niż jéj stały, serdeczny obrońca lub gorliwy sprzymierzeniec. Na całéj kuli ziemskiéj, żył wtedy zapewne tylko jeden człowiek, którego on kochał, a tym jednym — był Napoleon. Dla czego on go kochał, byłoby trudno powiedzieć; najprawdopodobniéj, że jenijusz wielkiego męża, zaimponował zbyt mocno rozumowi lekarza, a nie umiąc kochać inaczéj, kochał go krytycznie, umiejętnie, jak księgę uczoną, jak egzemplarz osobliwszéj choroby.

Chociaż ze wszech stron poszukiwany, czczony, schlebiany; usuwał się doktor Martelin mrukliwie od wszelkich bliższych zajść i stosunków, któreby go z kolei jego samotniczego życia mogły były wychylić. Skromny w swoich wymaganiach, prawie bez żadnych potrzeb, a przez to samo zawsze w dostatkach; umiał sobie zapewnić takie stanowisko, iż nikogo nie potrzebując, był zawsze innym potrzebny, a to dumne przekonanie własnéj niepodległości, zwiększało jego martwą bezwzględność dla świata, który go otaczał. Tylko tam, gdzie czarne straszydło śmierci groźno do drzwi zapukało; spieszył nasz lekarz, jak ów niemy rycerz, szybko i bezinteresownie do stoczenia walki; po któréj pomyślném lub niepomyślném rozstrzygnieniu, znikał tajemniczy pogromca również w milczeniu, jak się był pojawił, nie wynurzając żadnéj radości, gdy chorobę pokonał, ani też nie okazując widocznéj niechęci, gdy jego umiejętność klęskę poniosła.

A jako w zupełném żył odosobnieniu, zdala od świata i wszelkich związków rodzinnych, bez przyjaciół i krewnych; tak też zdało się, że i całą pieczę i posługę około swojéj osoby, poruczał bardziéj samemu przypadkowi, niż czyjéjś systematycznéj staranności. Miał on wprawdzie posłużnego człowieka przy sobie, lecz ten nie pełnił właściwych obowiązków służby, i zostawał owszem w tak dziwnym i niezwyczajnym z nim stosunku i zawisłości, iż sobie ludzie często nad tém głowę łamali. Ten jedyny towarzysz doktora — co w owych czasach rozjątrzonéj nienawiści narodowéj, powszechnie zadziwiało — byłto Anglik, który mówił bardzo źle po francuzku, patrzył obłąkanym wzrokiem, i nie zalecał się bynajmniéj ujmującą powierzchownością. Nikt właściwie nie wiedział nazwiska jego, on sam zwał się tylko po prostu: Adam, a kto bliższego odeń chciał się dopytać adresu, narażał się na grubijańską odpowiedź, albo złośliwe zębów wyszczérzenie. I tak, będąc jednego razu powołanym na świadectwo do sądu, złożył swoje zeznanie jako Adam, i podpis jego był »Adam«, i nic więcéj; a zapytany przez sędziego o przezwisko, wzruszył gniewnie ramionami, i odpowiedział: iż tak a nie inaczéj się nazywa; komu zaś na tém nie dosyć, ten się wcale bez niego obejść może. Tak, o tém jedném, krótkiém, dwuzgłoskowém imieniu, będącém niejako pierworodném mianem całéj ludzkości, żył on sobie krnąbrno i opryskliwie na świecie, nie troszcząc się bynajmniéj, co o nim mówią, ale i sam téż nie cierpiał być przedmiotem uwagi ludzkiéj.

Z panem swoim żył Adam, jak to już powiedzieliśmy, w tajemniczym, nieodgadnionym stosunku, który na bardzo różnorodnych i zawiłych powodach

osnutym się być zdawał. Pobierał on od doktora Martelin dość znaczną zapłatę, nie odpowiadającą bynajmniéj zbyt małéj pracy, jaką podług własnego upodobania wypełniał lub nie wypełniał. Sposób jego obchodzenia się z doktorem, przybierał niekiedy pozór najswobodniejszéj poufałości, dalekiéj od najmniejszego cienia służebnictwa; czasami zaś przyoblekał się w barwę nieograniczonéj, fizycznéj i moralnéj niewoli, z któréj zarówno ślepa miłość i przywiązanie, jakoteż z drugiéj strony, niema stłumiona wewnętrzna wściekłość, i głęboka, chociaż lękliwa i zamiaru niezdolna nienawiść niewolnika dostrzegać się dawała.

Pierwotnéj przyczyny tego częścią spokojnego i naturalnego, częścią zatrważającego, i poniekąd wstrętnego pożycia dwóch tak dziwacznych osobistości, nie mógł sobie nikt wyjaśnić. Dopiéro późniejsza, i nie mniéj szczególna katastrofa wyjawiła ten stosunek. Aby jednak toku powieści nie wyprzedzać, nie możemy czekać, aż nadmieniony tu obrót rzeczy nastąpi, lecz musimy już teraz cofnąć się do źródła dawniejszych okoliczności, z których się ten obecny, osobliwszy stosunek wywiązał.

Trzeba wiedzieć, że doktor Martelin odbywał przed laty, mnogie i dalekie podróże. Podobnie jak wszystkie młode, badawcze duchy, zanim jeszcze ich umysł, całe zodyjakowe koło doświadczenia przebieży, a wszelkie rezultaty ich wiedzy, w pewną, zgodną, organiczną całość się złożą; najprzód pojedyńcze wrażenia, jakby odłamki życia, z namiętną chciwością chwytają, i na nitkę rozsądku zawlekają; tak też i nasz lekarz-odludek gonił széroko po świecie za takiémi okruszkami żywota, i składał je do osobnego użytku w duszy swojéj, jakby owe kwiaty w botanicznym zielniku. Najdłużéj bawił on w Londynie. Cichy a jednak sprężysto-skrzętny, kupiecko-sumienny tryb, jakim umiejętność w Anglii postępuje; miał dla jego najchciwiéj w własną głębię zatapiającego się umysłu, więcéj powabu, niż ów głośno-brzmiący marsz tryjumfalny, jakim ona we Francyi, każdą ubieżoną staj swego rozwoju, zwykle witać umié. Jakoż z ponuro-zadumczywém zadowoleniem zanurzył się doktor Martelin w mglistą, węglaną atmosferę stolicy pysznego Albionu; myślił, rozmyślał, badał, dociekał, i w ten sposób nassał się tak pisanéj jak żyjącéj wiedzy. Namiętny anatom, ciągnął on jak ów sęp zgłodniały za zgniłym wyziewem trupów, bądźto na pobojowisku w otwartém polu, bądź na cmentarzu, bądź wreszcie pod szubienicą. Ilekroć krwawy paragraf ustaw angielskich schwytanemu zabójcy lub oszustowi, stryczek zawyrokował; zawsze już doktor Martelin śmiertelne zwłoki biédnego potępieńca naprzód zakupił, i za pomocą sondy i noża, zagłębiał się z chciwą lubością w dziwny splot labiryntu ciała człowieczego.

A że trupy dla jego krwawych dociekań, były cierpliwszémi, niż żyjący i powietrzem oddéchający ludzie; przeto stały mu się one daleko pożądańszémi od samychże ludzi; a to przypadkowe zdziwienie, jakiego nad wszelkie oczekiwanie doświadczył, gdy razu jednego ciało jakiegoś po partacku powieszonego nieboszczyka, nagle mu pod ręką zadrgnęło i odżyło; nie było bynajmniéj dla niego lkliwą radością, ale tylko szyderczym uśmiéchem. Ów biédak zaś, który się po odbytém prawném uśmierceniu, tak niespodzianego odrodzenia na anatomicznem stole doczekał; był dwukrotnie schwytanym zbiegiem wojskowym. Jeszcze doktor na szczęście jego, nie zaczął był krajać, gdy na ciele nieszczęśliwego, niejakie oznaki życia dostrzedz się dały. Możnaby prawie powiedzieć, iż lekarz przez niemałą chwilę się namyślał: czy tak zdrowego, tak wybornie zachowanego trupa, ma znowuż w człowieka przemienić, wprawdzie w człowieka żywego, lecz już do badań anatomicznych wcale nieprzydatnego. Ale że podobne przywrócenie do życia, mogło być z korzyścią dla umiejętności, więc zaczął tak silnie i w różny sposób trzéć, i tak ostro odżywiać nieboszczyka, iż tylko ten, komu sama szubienica już nie zaszkodziła; był w stanie tak doskwiérającą operacyję wytrzymać. Bo też nasz szubieńnik w istocie żelazne miał ciało, i po niedługim czasie przyszedł zupełnie do siebie. Opamiętawszy się, podźwignął się zwolna, przetarł sobie oczy, a potém, jakby się z głębokiego snu przebudziwszy, wlepił osłupiały wzrok w lekarza. Ciemny sen uduszenia, ciężył mu jeszcze na ciele i na duszy. Doktor Martelin pospieszył wpół żyjącemu orzeźwiającémi środkami w pomoc, a tak niebawem stanął wisielec zupełnie przytomnie i zdrowo przed lekarzem, jak gdyby mu się nic było nie stało.

Zebrawszy zmysły, i wyrozumiawszy stan rzeczy, w jakim zostawał, rzucił się w milczeniu doktorowi do nóg, jakby dopiéro od niego oczekując pozwolenia: czy mu w istocie żyć wolno. Dziwno też było, widzieć tego człowieka, z cerą i wyrazem twarzy trupa, w dzikim, obszarpanym ubiorze, na rodzaj najokropniejszéj śmierci wskazującym, jeszcze ze stryczkiem u szyi, który mu zdjąć zapomniano.

»Jak się nazywasz?» zapytał go doktor Martelin oziębłe, i bez najmniejszego spółczucia.

„Adam Kokering, zbiegły wojskowy; nie spodziewałem się, aby ucieczka, tak dalece na złe mi wyszła.”

»Dobrze, już dobrze, Adamie» — rzekł lekarz — „Zbierz zmysły, i słuchaj, co ci tu powiém. Wiesz bez wątpienia, jakim sposobem się stało, że jeszcze żyjesz i déchasz. Słuchajże: Dopóki ja na to nie zezwolę, nie będzież i nadal człowiekiem, lecz tyl-

ko trupem, spadłym ze szubienicy, wykopanym z pod szubienicy, sztucznie przeze mnie ożywionym, a ożywionym tylko na tak długo, jak mi się to podobać będzie. Nie masz już żadnego nazwiska, gdyż twoje dawne stoi na liście umarłych; karta poświadczająca śmierć twoję, jest twoim do nowego życia paszportem; ustawy, świat i ludzie, sprzeciwiają się twemu istnieniu, tyś sam powinien o tém nie wiedzieć, że jeszcze jesteś na ziemi. Nie nazywasz się Adam Kokering; gdyż nazwisko twoje zagrzebane jest w piasku pod szubienicą. Będziesz się odtąd tylko Adamem nazywał, zostawię ci jeszcze to imię, ja, twój drugi stwórca. Słuchaj Adamie. Nie chciałem ja nigdy mieć do czynienia z ludźmi; nigdy od nich żadnéj wdzięczności nie wymagałem, ani też sam dla nich wdzięczności nie czułem. Z tobą, który nie jesteś już człowiekiem, lecz tylko trupem, tylko cieniem, bez ludzkiego imienia i znaczenia; z tobą Adamie będę ja umiał, jak sobie tuszę, lepiéj się zgodzić. Przyjmuję cię w służbę, i będę cię miał w swojéj opiece. Jutro wyjedziem obaj z Anglii. Będzie ci się u mnie dobrze działo, Adamie; nigdy złego słówka ode mnie nie usłyszysz; nigdy na surowość lub tyranię nie będziesz się mógł uskarżać. Lecz jedno zawsze miéj w pamięci i przed oczyma: życie twoje jest tylko ulotném tchnieniem, które ja schwyciłem, i które, gdybyś do tego mię przymusił, znowuż na wolę wiatrubym puścił. Patrz, oto jeszcze masz stryczek na szyi. Zdejmuję ci go, ale go przechowam. Pamiętaj sobie, iż w razie zniewolenia mię do tego twojém nieposłuszeństwem, twojém złém prowadzeniem się; mogę ci w każdéj chwili zwrócić ten stryczek, od którego cię wyzwoliłem, mogę cię znowu zamienić w trupa, za jakiegom cię kupił i otrzymał. Jeżli uznajesz słuszność moich warunków, i masz chęć przystać na nie, tedy uderz na zgodę. Dopóki sam lekkomyślnie zgubić się nie zechcesz, nigdy téj chwili nie pożałujesz."

„Sir" — ozwał się trwożnie nieszczęsny — „Tyś okazał się miłosiernym dla mnie biednego. Życie moje jest twojém dziełem, twoją własnością, i od ciebie je w darze biorę Nie zechcesz nadużywać swéj władzy, a zatém jestem już twoim za zawsze, twoim z duszą i ciałem."

Żywy i umarły, podali sobie ręce, a tak stanęła w istocie ta osobliwsza ugoda.

Mimo wszelkiéj dziwaczności i nierówności stosunku, zachodzącego między doktorem Martelin a Adamem, nie miała ani jedna ani druga strona właściwego powodu do skargi albo żalu. Właśnie to, że doktor Adama całkiem za swoje stworzenie uważał, że czuł się w obec niego wolnym od względów, jakie był winien innym, a dla jakich raczéj wszelkiego obcowania z ludźmi zaniechać wolał; przywiązywało tego ponurego człowieka tém szczérzéj i silniéj do Adama; zdało się nawet, jakby dla niego doktor Martelin zdolen był uczuć pewną serdeczną przychylność, niejaką miłość bliźniego, wcale mu dotąd obcą; a to przekonanie, iż jakąś istotę mógł wyłącznie swoją własnością nazwać, iż ją najdowolniejszą samowładnością posiadał, i wszystko mocen był od niéj żądać, nie będąc jéj za to do niczego zobowiązanym; napełniało go jakiémś osobliwszem zadowoleniem i czyniło go łagodniejszym i dobrotliwszym, niż kiedykolwiek. Działo się Adamowi u doktora nie tylko dobrze, jak mu to lekarz był przyrzekł, lecz owszem wyśmienicie, nieporównanie. Nigdy on o nic daremnie nie prosił; żył w dobrym bycie, a nawet w dostatku; służba jego była bardzo lekka i prawie dobrowolna; nigdy żadne przykre słówko nie przypominało mu jego okropnéj zawisłości, a tak, zdała się cała owa tajemnicza ugoda, zawarta między przypadkowym stwórcą a jego stworzeniem, tylko próżną formalnością.

Również i Adam sprawował się uczciwie i rozsądnie; był on wiernym i uległym doktorowi, a przywiązanie to nie z samego tylko przymusu wynikało. Niekiedy wprawdzie odzywała się w jego twardym łbie krnąbrność John-Bulla, i bywały chwile, gdzie Adam mrukiem i fukiem lekarzowi odpowiadał. Natenczas doktor Martelin z rzadką cierpliwością o tyle zazwyczaj ustępywał, o ile to z jego powagą się zgadzało. Gdy zaś Adam czasami nazbyt daleko się posunął, wtedy dość było jednego surowego spojrzenia lekarza, aby go do rozumu znów przyprowadzić, poczém zawsze na dłuższy czas należyte porozumienie wracało. Jedyny raz tylko przyszło do uporczywéj, aczkolwiek krótkiéj pomiędzy nimi rozprawy. Udawszy się z swoim panem za wielką armiją do Saksonii, rozkochał się był Adam w pewnéj zwinnéj, ładnéj, jasnowłoséj Niemeczce, i napierał się koniecznie, ożenić się z swoją Karoliną, tak bowiem nazywała się jego oblubienica. Doktor Martelin, który nic w świecie nie miał w takiém obrzydzeniu, jak święty stan małżeński; stanowczo temu zamysłowi się sprzeciwiał. Lecz brytański upór Adama nie dał się tak łatwo od raz już powziętego zamiaru odwieść. Naprożno podwajał i potrajał doktór swoje argumenta przeciw małżeństwu, a widząc szczególniejsze zaślepienie swego towarzysza, chwycił się chcąc nie chcąc tego raczéj dobitnego niż delikatnego środka: iż zapytał Adama, jakie on też właściwie nazwisko da swojéj żonie, nie mając sam żadnego? Nato odparł Adam w uniesieniu, że się już jakieś nazwisko w kalendarzu dlań znajdzie. Co usłyszawszy, nie mógł się już doktor dłużéj poskromić, sięgnął nagłym ruchem do zamkniętéj zawsze szufladki w swojém biurku, i wyciągnął z niéj konopny stryczek, którego widok biednemu Adamo-

wi aż nazbyt dobrze był znanym W oka mgnieniu umilkł nieborak, pocałował lekarza w rękę, na znak, iż nie zapomniał swego zobowiązania, i poszedł do Karoliny, aby jéj powiedzieć: że zaślubienie ich jeszcze odroczoném być musi, że pan jego nie chce mu w téj chwili dać pozwolenia, i że pomyślniejszéj czekać należy sposobności.

Wróciwszy od kochanki, zastał Adam lekarza znów tak łagodnym i uprzejmym jak zawsze. Nie wspomniano już i słowem o zaszłéj sprzeczce, a cały przyjaźny stosunek utrzymał się na dawnéj, poufnéj stopie.

Ztémwszystkiém od téjto, zdaje się chwili, zaczął Adam uczuwać poniekąd ciężar swojego położenia, a poprzednia jego uległość zamieniła się teraz w pewną wymuszoną, trwożną służbistość, któréj dotąd nie miał w zwyczaju; co więcéj: do jego sposobu myślenia o doktorze, przymieszała się teraz jakaś gorycz, którą udaniem témwiększéj przychylności pokrywać należało; a tak, nieznacznie zakradł się duch fałszu w ten stosunek, i kazał się nadal złych skutków obawiać.

Lecz doktor wcale na tém się nie postrzegał. Jego przyjaźne usposobienie dla Adama nie doznało żadnéj odmiany, i możnaby owszém było powiedzieć, iż on, jakto zwykle starym kawalerom się zdarza, ulegał w pewnéj mierze wpływowi tego samego sługi, którego on za swoje ślepe narzędzie uważać miał przyczynę Tylko jedno gniewało go u Adama, to jest: iż tenże w czasie, kiedy wojna antypatyje narodowe do najwyższego stopnia podniosła, z niezłomnym uporem brał stronę swoich ziomków, Anglików, u których przecież nie wiele zaprawdę szczęścia i sławy dostąpił. Owszem, mawiał on nawet niekiedy, iż najgorętszém jego życzeniem jest, uczynić coś dla swojéj ojczyzny, która go hańbą napiętnowała i na szubienicę przywiodła; wyświadczyć narodowi swemu na przekor znamienitą przysługę, którąby tenże naród zmusiła być mu na wieki wdzięcznym, i uzacnić znowuż i przywrócić mu nazwisko Kokering, wymazane teraz z księgi żyjących, i pod szubienicą zagrzebione Podobne słowa wprawdzie tylko mimowolnie z ust mu się wyrywały, a potém zatapiał się zwykle w głębokie dumania, i długo ani słowa nie mówił Doktor Martelin, który mimo swojéj wewnętrznéj oziębłości, cały pałał dla sławy Francyi i wielkiego Napoleona, a przeto był też w owym czasie rozjątrzonych namiętności zaciętym nieprzyjacielem Anglii; złościł się srodze, podsłuchawszy przypadkiem tych bredni Adama, jak on je zwykł był nazywać, lecz zresztą małoco na nie zważał, będąc przekonanym, iż ta dorywcza gorączka odżyłego wisielca, wkrótce przeminie.

Tymczasem wojenny stan rzeczy wcale się zmienił. Byłoto już po bitwie pod Dreznem, po tém ostatniém zwycięztwie, którém zraniony w serce Tytan, chciał odwrócić od siebie ciosy naciérającéj nań Europy. Lecz sama widownia zwycięztwa jego miała mu się niebawem stać więzieniem. W piérwszych dniach października r. 1813, wyruszyła główna armija sprzymierzona z obozu pod Cieplicami, i wtargnęła w kilku kolumnach do Saksonii. Niespodzianie stanął i Blücher, którego Napoleon jeszcze pod Budziszynem być mniemał, z całém swojém wojskiem nad Muldą. Tak zagrożony w głównych punktach komunikacyjnych, i w niebezpieczeństwie zupełnego osaczenia; ujrzał się Napoleon wreszcie zmuszonym cofnąć się z Drezna, którego murów i szańców on podczas swego stopniowego chylenia się ku upadkowi, konwulsyjną siłą się dzierżył; a dnia 6 października ustąpiła armija francuzka w dwóch kolumnach po obu brzegach Elby na Myszny do Wurzen, aby ztamtąd ku nieszczęsnym nizinom Lipska zdążyć.

Doktor Martelin otrzymał rozkaz udania się za armiją w ten pochód. Miał on jeszcze w Dreźnie — gdzie marszałek Gouvion Saint-Cyr z trzydziestą tysięcy ludzi dla obrony miasta i przesmyków w Górach Rudnych pozostał — niektóre sprawunki do załatwienia. Dla tego odłożył lekarz swój wyjazd do jutra, i wyprawił Adama z najpotrzebniejszym pakunkiem naprzód do Myszen.

Adam pomagał doktorowi z nadzwyczajną skrzętnością przy pakowaniu, wykonywał wszystkie zlecenia jaknajszybcéj, i prawie w gorączkowym pospiechu, na który jednakże lekarz uwagi nie zwracał. Owszem, gdy Adam był już w drodze do Myszen, pospieszył też doktor Martelin z ukończeniem swoich sprawunków, aby nazajutrz o świcie za nim się wybrać. Niespracowana gorliwość, jaką Adam przy téj sposobności okazał, nadzwyczajnie lekarzowi się podobała.

»Mogę się spuścić na niego« — mówił doktor Martelin sam do siebie, stojąc przed biurkiem, i składając swoje papiéry. »Jakkolwiek na pozór inaczéj się wydaje, powinienem mu być wdzięcznym. Mógłżebym mu był przeszkodzić, gdyby był chciał uciec ode mnie, i zostawić mi swój stryczek i swoje pęta? Okazał mi się wiernym, poniósł ofiarę dla mnie, i wynagrodzę go za to. Powieszono nazwisko jego w Anglii; ja mu dam nowe, lepsze. Rzeczy biorą coraz gorszy, niebezpieczniejszy obrót. Któż mi zaręczy, że nie ulegnę obozowéj febrze, chociażby mnie kula nie spotkała. Jestem majętnym, i nie mam nikogo, komubym co mam zostawił. Któż mi zabroni przybrać Adama za syna, dać mu własne moje nazwisko zamiast tego, które biedakowi tak sromotnym sposobem zginęło, i zrobić go moim przyszłym dziedzicem? Tak, uczynię to, i to spiesznie, nim mi jeszcze los w tém przeszkodzi. Skoro tylko do Myszen przybędę, przy najpiérwszém

spotkaniu się z Adamem, oznajmię mu jego wolność, i obdarzę go niespodzianie nazwiskiem, które mu zaszczyt i majątek przyniesie. I ten stryczek, którym go moralnie na uwięzi trzymam, na wieczne czasy mu zwrócę. Niech go zniszczy, a z nim i tę moję czarodziejską nad nim władzę z dawnych czasów, tyle go udręczającą.”

To mówiąc odłożył doktor Martelin stryczek na stronę, aby go przy odjeździe nie zapomniał.

W téj chwili zapukał ktoś silnie do drzwi, a nim jeszcze lekarz »Proszę” uspiał wymówić, wpadła do pokoju młoda dziewczyna z wyrazem najsroższéj trwogi w twarzy.

»Kto jesteś? czego żądasz?” zapytał lekarz niechętnie.

„Panie!” — zawołała dziewczyna. — „Nie mogę dłużéj milczéć. Umieram ze strachu. Jestem Karolina, narzeczona Adama. Panie, na miłość Boga! Spiesz za nim, i dopędź go! Adam knuje okropny zamach w myśli; chce on korzystać z przeprawy wojsk przez Elbę i z twojéj nieobecności, aby cesarza francuzkiego zastrzelił.”

Doktor zerwał się z krzesła, a oko jego zaiskrzyło się przeraźliwie.

»Panie!” — mówiła dziewczyna daléj, padłszy na kolana przed lekarzem — „Nie dopuść téj okropnéj zbrodni, ale miéj miłosierdzie nad Adamem! Nie oddawaj go pod sąd! Zdaje się, iż jemu niekiedy w głowie się miesza. Myśli on przez to wyświadczyć swojéj ojczyźnie wielką przysługę.”

„Uspokój się moja panno” — rzekł doktor, odzyskawszy zwyczajną swoję oziębłość. »Nie dopuszczę ja, aby Adam swój zbrodniczy zamysł wykonał.”

„I nie oddasz go w ręce sprawiedliwości?” — zapytała błagającym głosem dziewczyna.

»Już ja sam o to z nim się rozprawię; daję ci na to słowo moje” — odparł lekarz.

Dziewczyna odetchnęła swobodniéj, jakby jéj kamień spadł z piersi. Doktor Martelin wyprowadził ją spiesznie; a gdy dziewczyna, uspokojona zupełnie, wyszła, chwycił czémprędzéj kapelusz, i zostawił wszystko, jak było. Nie dozwolił sobie nawet tyle czasu, aby zamknąć biurko, zawierające jego papiery i pieniądze. Tylko stryczek schował do kieszeni, i tak wybiegł z pokoju.

* *
*

Jeszcze w marcu r. 1813 Davoust, »burzyciel mostów,” spalił pod Mysznami most na Elbie. Później gdy odwrót Prusaków po bitwie pod Lützen wojskom francuzkim na nowo w téj okolicy rozłożyć się dozwolił; musieli Francuzi komunikacyję między obudwoma brzegami Elby utrzymywać za pomocą mostu łyżwowego, który zaczynając się po lewym brzegu, u tak zwanych domków rybackich, dotykał po prawéj stronie wsi Köln, łączącéj się z zaelbiańskiém przedmieściem Myszen. Ogromne okopy, założone jeszcze przez Prusaków, a późniéj przez Francuzów rozprzestrzenione; broniły z téj strony, mianowicie od winnicy Krysowskiéj, przejścia przez Elbę; a przez inną, poniżéj miasta leżącą winnicę we wsi Proszwicy, ku wąwozowi Kacenszprung; wiódł nowo ubity gościniec, którym się z nadbrzeżnéj doliny Elby w głąb kraju wyjeżdżało. Flora i Pomona musiały ustąpić żelaznemu krokowi Marsa. W pośrodku winnic i ogrodów jeżyły się grzbiety szańców i zasieków; gdzie dotychczas tylko spokojna broń motyki i rydla władała, teraz czarne paszcze armat ziewały, a zpoza połamanych tyk winnicznych wysterczały bagnety. Nad piękną niegdyś i rozkoszną, a dziś opustoszałą i dziką doliną nadelbiańską, wisiało ponuro szare niebo jesienne, jakby rozpamiętywując krwawe dzieje przeszłości, a przeczuwając te, które jeszcze nastąpić miały.

Dnia 7 października przeprawił się Napoleon po raz ostatni przez Elbę. Jak niegdyś świat cały drżał pod grzmiącym rydwanem bohatéra Francyi, tak w dniu owym od świtu do póżnéj nocy, tętniał drewniany most łyżwowy pod francuzką piechotą, pod kopytami koni, pod kołami armat i wozów zasobowych. Wszystko zapowiadało blizką okropność boju, którym posiadanie całego świata ustaloném lub postradaném być miało.

Około południa nastąpiła w pochodzie krótka przerwa, a most wypróżnił się, gdy ów mąż przeznaczenia, za którym te wszystkie wojska szły na śmierć, sam Napoleon ze swoim świetnym jeneralskim sztabem, miał rzekę przebywać; i wszystko też z uszanowaniem na stronę się usunęło, aby mocarzowi w przejeździe nie być na zawadzie. Jakoż pojawił się był już po lewym brzegu, w pobliżu domków rybackich, ów sławny siwy rumak, który tego boga wojny i zwycięztw, niósł ku mostowi.

Gdy to na lewéj stronie Elby się działo, w téjże saméj chwili na przeciwnym brzegu wykradł się jakiś człowiek z pośrodka wąwozu owych dwóch obwarowanych winnic, i zmierzając ku mostowi, wpatrzył się ostro w orszak cesarski, który po tamtéj stronie rzeki ku wybrzeżu się zbliżał. Oczy jego były okropnie w słup wytrzeszczone, usta drgały, a czoło jakimś straszliwym zamysłem się zachmurzyło. Długi szaraczkowy płaszcz okrywał całą postać jego, tak, iż nie można było poznać, co on pod nim miał w ręku. Tym człowiekiem podejrzanym — był Adam.

Już kopyta końskie na deskach pływającego mostu załomotały, już coraz bliżéj widać było Napoleona, który na swoim siwku, wolnym kłusem przez most ku prawemu brzegu nadjeżdżał. Za każdym bliższym krokiem cesarza, stawały się ruchy

rąk Adama pod płaszczem coraz niespokojniejsze. Teraz przebył już cesarz dwie trzecie części mostu, i tylko mu kilka kroków do brzegu pozostawało. To zdało się być Adamowi stanowczą chwilą i najstosowniejszą odległością. Rozwinął płaszcz: w jednéj i drugiej ręce błysnął pistolet. Życie pogromcy świata, wisiało na włosku téj jednéj sekundy!

Ale w téjże samej chwili pojawia się z tyłu inna postać, uderza Adama tak silnie po ramieniu, iż mu obie ręce bezwładnie opadły. Adam obziéra się przerażony, i spotyka się z oczyma doktora Martelin, które z okropnym wyrazem na wskróś go przeszyły. Lekarz nie rzekłszy ani słowa, podniósł rękę w górę, i pokazał mu niemo, ów nieszczęsny stryczek. Adam zrozumiał to straszliwe godło. Przed chwilą był jeszcze w twarzy jakby ogień czerwony, teraz zbladł jak kréda. Lecz nie rzekł ani słowa. Jak śmierć milczący, wierny zawartéj ugodzie, poddał się swemu losowi. Lekarz zaprowadził go o kilka kroków od brzegu, gdzie zponad muru, okalającego poblizki dworek z ogrodem, wystérczały ogrómne konary starego jasiona. Tam przybywszy, kinął lekarz stryczek blademu jak trup Adamowi, i wskazał na gałęź. Adam ani słowem się nie sprzeciwił, ani słowa prośby nie wyrzekł. Położył obydwa pistolety na ziemię, przysunął sam duży kamień, aby stanąwszy na nim, dosięgnął konaru, i z martwą spokojnością, przymocował doń koniec stryczka.

W tym samym czasie, gdy on to straszliwe przygotowanie prawie zupełnie ułatwił, i miał już sobie stryczek na szyję założyć; przebyli jeźdźcy rzekę, i z mostu już na brzég wjechali.

Jeden z cesarskich adjutantów, widząc z zadziwieniem dwóch ludzi, z których jeden w biały dzień przy gościńcu do powieszenia się zabiérał, podczas gdy drugi przy nim w poważnéj stał bezczynności, i widocznie temu przyzwalał; zwrócił uwagę Napoleona na to osobliwsze widowisko, a ten skinął coprędzéj ręką, aby obaj w swojém podejrzaném przedsięwzięciu się zatrzymali.

Nato Adam, który z swojém samobójczem przyrządzeniem już był gotów, chciał na chwilę zaczekać; lecz doktor dał mu znak, aby sobie nie przerywał, a biédny winowajca, pełen niezłomnego posłuszeństwa, byłby już do ostateczności przystąpił, gdyby nie dwaj żandaromwie z orszaku cesarskiego, którzy go przemocą od tego odwiedli.

„Cóżto znaczy? takżeto moje rozkazy się wykonują?" — zapytał cesarz gniewnie, podjeżdżając tuż ku lekarzowi. »Co tu robisz?"

„Sire, chciałem ojczyznę ocalić" — odpowiedział lekarz spokojnie, wskazując na pistolety, które ostro nabite, jeszcze na ziemi leżały

Cesarz zdał się tym widokiem być nieco zdziwiony. Potém zaigrał mu uśmiech na ustach, który jednakże w oka mgnieniu znowuż rozkazującéj surowości ustąpił. „Jak widzę, masz posłuszniejszych ludzi, niż ja" — rzekł Napoleon. „Dla kogo schwytany skrytobójca tak grzecznym się okazuje, iż na samo jego skinienie, dobrowolnie się chce powiesić, ten zaprawdę władzę swoję daleko doprowadził."

»Nie byłoto grzecznością, sire" — rzekł na to lekarz z niewzruszoną spokojnością — „jestto owszem kontraktowym obowiązkiem. Ten człowiek żyje tylko za mojém pozwoleniem; ja w niego życie wtchnąłem; i mam też prawo, odebrać mu je w każdéj chwili Jestto tylko machina, moją sztuką złożona, i mogę ją znowuż roztłuc, kiedy, i jakimkolwiek sposobem mi się podoba."

„Gdybym cię nie znał z czynów twoich, myślałbym, żeś szalony" — rzekł Napoleon; poczém zwrócony do Adama, pytał groźno: „Prawdaż? Chciałeś strzelić do mnie?"

„Tak, sire" — odrzekł Adam śmiało. „A strzélam dobrze. Gdyby nie ten pan, jużbyś wasza cesarska mość nie żył."

Nato szepnął Napoleon kilka słów jednemu z adjutantów, a żandarmowie wzięli Adama w pośrodek siebie, i zaprowadzili go opodal. Trzech szaserów udało się za nimi.

„A teraz, Martelin, opowiedz mi, jakim sposobem dopytałeś się tego człowieka, i w jakim stosunku z nim zostajesz?" — ozwał się cesarz.

Doktor Martelin opowiedział, jak mógł najkrócéj, cały stan rzeczy. Pod koniec jego opowiadania dał się słyszéć opodal podwójny wystrzał, a dym powiał zpoza dworku.

»Co znaczą te strzały?" — zapytał Martelin zdziwiony.

»Jestto znak, iż skrytobójca żyć przestał" — rzekł cesarz surowo.

„Sire, to uwłacza mojemu prawu" — zawołał Martelin nieustraszenie. »Ten człowiek był moją własnością; mnie samemu należało go ukarać. Zaręczyłem mojém słowem, iż sam o to z nim się rozprawię. W téj bitwie dopełnię jeszcze mojéj powinności; ponieważ mogę tam być potrzebnym. Po bitwie zaś, sire, proszę o uwolnienie od służby."

„Byłeś i jesteś upartym, starcze" — uśmiéchnął się Napoleon. „Ztémwszystkiém, mam nadzieję, iż jeszcze inaczéj się namyślisz Po bitwie mam i tak do mówienia z tobą. Otrzymasz krzyż legii honorowéj."

Martelin nic nie odrzekł, tylko niechętnie głową kiwnął. Lecz cesarz tego już nie dostrzegł. Zwrócił konia na gościniec, i odjechał z orszakiem ku Proszwicom.

„A przecież mimo twojéj namowy i krzyża legii honorowéj, nie będę ci daléj służył" — mruknął

doktor sam do siebie. »Pokrzywdzono mię w moich prawach. Po pierwszej bitwie udam się na spoczynek.«

I dotrzymał też słowa nasz doktor, chociaż nie w ten sposób w jaki zamyślał.

Podczas bitwy pod Lipskiem, znajdował się doktor Martelin przy prawém skrzydle wojska francuzkiego pod księciem Poniatowskim, a gdy Napoleon osobiście obronę południowego przedmieścia Lipska, zlecił księciu; doktor wraz z nim za mury miasta się cofnął. Po odwrocie Napoleona i przypadkowém zburzeniu mostu na Elsterze u Ransztadzkiej bramy przez przedwczesne wysadzenie podłożonej tamże miny; została Francuzom droga do ocalenia się przeciętą, a gdy sprzymierzone wojska w południe 19 października, trzema bramami przemocnie do miasta się wdarły; książę Józef Poniatowski, Macdonald, i wielu innych, którzy za nimi zdążyć mogli; rzucili się na koniach ze stromego brzegu w spienione nurty rzeki. Martelin, który niedawno przedtém owiązał był rany rycerskiemu księciu Poniatowskiemu, jechał i w tym odwrocie przy jego boku. Jakoż po pięciu dniach, kiedy w pobliżu dzisiejszego ogrodu Gerhardowskiego, wydobyto zwłoki walecznego księcia Józefa z głębin Elstery, znaleziono także ciało doktora Martelin niedaleko trupa bohatérskiego marszałka.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Piliera) wyszedł nr. 10ty i zawiéra: 1) Przegląd książki: Rozprawy c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego. Tom piérwszy. 2) O renach lapońskich. (Wyimek z dzieł księdza Krzysztofa Kluka). 3) Młocarnia van Rynberka. 4) Lekarstwo na końską nosaciznę. 5) O gęsiém pastwisku. 6) Kartofle zastępują mydło. 7) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 8) Wiadomość literacka.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 6ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Salon i ulica. Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego. Rozdział piérwszy. Na górze i na dole. 2) Strzelec. Przez Jana Szymańskiego. 3) Nowsze powieści polskie. III. Milijon posagu Kraszewskiego. 4) Rozmaitość.

Statystyka miast i wsi w Królestwie Polskiém. To królestwo ma teraz 455 miast i 22.204 wsi. W tej liczbie jest 222 miast rządowych, a 233 prywatnych; wsi 3885 rządowych a 18.319 prywatnych.

Uczony jezuita Secchi, biblijotekarz przy *Collegio romano*, odkrył nowy sposób tłumaczenia hijeroglifów egipskich, uzupełniający poprzednie prace Champollion'a w tej mierze. Podług doniesień pism rzymskich miał Secchi mianowicie zbadać stosunek między głosowémi a symbolicznémi znakami, o co Champollion nadaremnie się kusił. Świetny ten wynalazek został przedłożony akademii archeologicznej w Rzymie, która jednogłośnie największe podziwienie dla jenijalnej bystrości, z jaką tak trudne zadanie rozwiązano, uczonemu jezuicie oświadczyło.

Olbrzymi mikroskop. W grudniu r. z. pokazywano w król. politechnice w Londynie mikroskop, który swoją siłą powiększającą wszystkie znane dotąd narzędzia tego rodzaju przechodzi. Ma on śkła sześciorakie. Piérwsze śkło powiększa tak dalece, iż skrzydełko szarańczy, widziane przez nie, zdaje się mieć 28 stóp długości; czwarte śkło uogromia żądło pszczoły w takąż samę 280-stopową wielkość; wreszcie szóste nadaje włosowi ludzkiemu grubość pnia, mającego 19 cali, czyli 4 stopy objętości, a każdą kropkę w oku muchy przedstawia jako 14to-calową bryłę. — Gdyby też kto wynalazł mikroskop, którymby całą bezczelność, zarozumiałość, a moralną nicość niejednego nadętego próżniaka widzieć można było!

Śmierć bohatérska. W doniesieniu o krwawej potyczce między Francuzami a plemieniem Udel-Dżellal w Algeryi dnia 10 stycznia t. r., chwali jenerał Herbillon osobliwie podoficera Chateaubriand'a, który przy szturmie do wsi jako ordynans obok jenerała jechał. »Jenerale!» zawołał nagle Chateaubriand — »biorą cię na cel;« poczém wypuścił konia na przód, aby zasłonić dowódzcę, i padł w oka mgnieniu, przeszyty dwoma kulami.

Nowy dziw. Pisma paryzkie donoszą o szczególniejszém odkryciu, lub może tylko usposobieniu osobistém, jakiem się niedawno w Paryżu niejaki pan Karol Dujounel przed licznie zgromadzoną publicznością popisywał, a według któregoto odkrycia, oko ludzkie w połączeniu z aparatem dagerotypowym, do sporządzania obrazów światłowych używać się daje. Pan Dujounel wpatruje się przez kwadrans mocno wlepionym wzrokiem w okolicę, budynek, lub osobę (pod gołém niebem), które chce odwzorować, a potém idzie do aparatu, bierze tam płytę dagerotypową, w zwyczajny sposób przyrządzoną, i patrzy się w nią przez pięć minut, przezco ów, w jego oku poprzednio zarysowany obraz na płytę się przenosi. Wreszcie kładzie p. Dujounel tę płytę w aparat, wystawia ją na wpływ promieni słonecznych, a po kilku minutach pojawia się na płycie tenże obraz ze wszystkiémi, najdrobniejszémi szczegółami, i może być, jak każdy obraz dagerotypowy, utrwalonym.

Największą rośliną pasożytną jest zapewne bajuka, rosnąca w odwiecznych lasach wyspy Kuba. Ta niebezpieczna roślina bywa z początku cienką, niepozorną latoroślą, która na kształt winnej macicy się krzewiąc, w najwyższych gałęziach drzewa się zakorzenia, potém na doł się spuszcza, i uwikławszy pień i niższe konary; nazad coraz grubszym wężem się spina, aż wreszcie u swego piérwszego korzonka w objętość drzewa grubego się rozrasta. Na próżno wije się biedne rodzime drzewo, które tego zdrajcę sokami swemi wykarmiło, w objęciach okrutnego potworu: tuczy on się dopóty jego siły żywotnémi, aż zdusiwszy je na śmierć w swoich potężnych ramionach; zwycięzko na jego spruchniałym trupie w ogromny krzak wybuja. Tylko jedno drzewo ma być tak silne, iż nie bez zemsty ginie, ale wraz z swoim pasożytnym wrogiem skruszone o ziem pada.

Mąka z kasztanów. Rosnący u nas kasztan dziki zawiéra 40 procent. krochmalu, a zatém, ująwszy mu kilkokrotném moczeniem wyłuszczonego ziarna, gorzkawego nieco smaku; może wydać mąkę, która mimo swojej taniości, dorównywa mące żytnej, i jest przeto na chléb przydatną. Przyrządza się kasztany na ten koniec w następujący sposób: Najprzód obrać z łupiny dojrzały owoc, włożyć go w wodę, i zostawić w niéj dopóty, aż woda nieco się zbruncze; potém odlać tę wodę, i nalać świeżéj; co trzy do czterech razy powtórzyć należy. Tym prostym sposobem ujmuje się kasztanom ciérpkiego smaku, nie

pozbawiając ich pożywności. Po dostateczném wymoczeniu, suszy się je na powietrzu lub w piecu, miele na mąkę, i piecze z niéj chléb, smaczny a bardzo tani.

Franciszek Liszt dawał dnia 21 z. m. pierwszy koncert w Kijowie, w sławnéj »sali koncertowéj.« Bawiąca tamże szlachta z Wołynia, Podola i Ukrainy porozsyłała gońców o kilkaset wiorst po swoje żony, aby czémprędzéj na koncert przybywały!! Z Kijowa umyślił Liszt jechać do Jas, zkąd zapewne na Odesę do Konstantynopola się uda.

Na to aktorowie nasi nie przystaną. Podług świadectwa Tertulliana (*ad nation. t.* 10) musiał raz w Rzymie aktor, grający Herkulesa, dla wiernego przedstawienia jego śmierci w płomieniach na górze Oeta, spalić się żywcem na scenie. Byłto na śmierć skazany winowajca. Innego razu, aktor przedstawiający Dedala, poświęconego na ofiarę Minotaurowi w Labiryncie kreteńskim, musiał rzucić się na pastwę rozjuszonemu lukańskiemu odyńcowi, który grał rolę Minotaura, i w istocie rozszarpał nieszczęśliwego w sztuki; a satyryk Martial, obecny temu widowisku, zdobył się przy téj sposobności tylko na płowy dowcip: jak też Dedal w téj chwili żałować musi, że nie ma swoich skrzydeł na podręczu.

W porcie Blackport w Anglii złapano niedawno haja morskiego, w którego wnętrzu znajdowała się butelka, na pozór próżna, lecz mocno zakorkowana. Po rozbiciu onéj, okazało się we środku pismo jednego z podróżników zniknionego przed niedawnym czasem okrętu »*Wisdom*,« donoszące, iż okręt po przebyciu okropnéj burzy, jest zupełnie podziurawiony, i kilku majtków dla ulżenia ciężaru, w morze już wrzucić musiano. Aż dotąd utrzymywali niektórzy, że okręt ten burzą w odległe strony zagnany został, lecz po tém przez haja doniesioném poselstwie, nie można już dłużéj o jego zgubie wątpić.

Studnia głodowa. »Dziennik Bazylejski« opowiada: »W miasteczku Richen jest studnia, którą od wieków »głodową« nazywają. Ma ona tę osobliwszą własność, iż tylko w latach drożyzny ciecze, w urodzajnych zaś latach wysycha. W bieżącém stuleciu zaczęła ona ciéc po raz piérwszy w r. 1816, poczém uschła na długo, aż znowu w r. 1845 wodą się napełniła, i dopiéro przed kilką tygodniami ciéc przestała. Z tego nowego wyschnięcia wnoszą tameczni mieszkańcy z najmocniejszém przekonaniem, iż rok niniejszy będzie bardzo urodzajnym.«

Cyganie w Anglii. Nieznacznie znika całe odrębne pokolenie ludzi z ziemi brytańskiéj; sąto Cyganie, czyli angielscy *Gipsies*. Ilekroć jeden z tych tajemniczych synów pustkowia na powierzchni społecznego życia przypadkiem się pojawi; natychmiast rzucają się nań wszystkie pisma czasowe, opisując go jak wilka, żubra, lub jakieś rzadkie źwiérzę, które jeszcze tylko w menażeryjach jest do widzenia. Taki właśnie gwar dziennikarski sprawiła śmierć tak zwanéj królowéj cygańskiéj, Dove Burton, zmarłéj r. z. w okolicach Salisbury, mającéj 95 lat. I w jakimżeto pałacu ta królowa ducha wyzionęła? W jednéj z owych bastyl publicznego miłosierdzia, które najnowsza ustawa o ubogich zaprowadziła. Królowa plemion wędrownych, pokonana wiekiem i cywilizacyją, była zmuszoną szukać przytułku w domu pracy. Jéj małżonek, równie stary jak ona, podobnie też abdykował. Ostatnią jego wycieczką z dobrowolnego więzienia pracy, było odprowadzenie zwłók towarzyszki swobodnych wędrówek młodości, na cmentarz — chrześcijański.

Kucharze z ogolonémi głowami. W grobowcu Ramses-Mai-Amuna, składającego się z kilku osobnych komnat, znajduje się, jak wiadomo, szereg szczególniejszych obrazów, przedstawiających egipskie zwyczaje i obyczaje. Początek tego szeregu stanowią obrazy zatrudnień i przyrządzeń kuchennych; koniec, obrazy mające za przedmiot muzykę. Na owych obrazach początkowych są wszyscy kucharze z ogolonémi głowami przedstawieni, co wielce na korzyść kuchni egipskiéj przemawia, o ile że w ten sposób niepodobna prawie było znaleźć włos w zupie przez tych kucharzy gotowanéj. Zresztą jednakże uważali Egipcyjanie smakoszostwo i łakotnictwo za wielki, jak się zdaje, występek; gdyż na innym obrazie widać duszę smakosza ukaraną na tamtym świecie przez wcielenie ją w postać świni! Byłoby to osobliwszą ryciną tytułową przy »*Almanac des gourmands*.«

Koń jenerała Gillespie. Po śmierci jenerała Gillespie przy szturmie do Kalunga w Indyjach wschodnich, został jego ulubiony wierzchowiec wraz z innémi ruchomościami poległego, na sprzedaż wystawiony. Dla uczczenia pamiątki swojego wodza, kupili go żołnierze 8go pułku dragonów, ostatni grosz zaoszczędzony na zaliczenie żądanéj sumy 500 funt. szter. złożywszy. Odtąd prowadzono osieroconego karosza podczas każdego marszu na czele pułku, a na stacyi w Cawpore stał on zawsze na swojém dawném miejscu przy chorągwiach, którędy przechodzące eskadrony, zwyczajnie go salutowały. Gdy tenże pułk do Anglii odwołanym został, a żołnierzom pieniędzy na podróż zabrakło; sprzedano rumaka innemu pułkowi, który o jego utrzymanie starać się przyrzekł. Wszakże wierny koń, nie widząc już dawnych przyjacioł w około siebie, i nie słysząc dobrze sobie znanéj trąbki pułkowéj, nie chciał odtąd nic jeść, i wyrwawszy się przy piérwszéj sposobności swemu nowemu przewodzcy; poleciał na dawne honorowe miejsce przy chorągwi, zarżał tam raz jeszcze, i padł nieżywy.

Nowa użyteczność eteru. Pewien małżonek, usłyszawszy, iż za pomocą siarkowego eteru od wszelkich dolegliwych członków ciała bez bolu uwolnić się można, chce się od swego ziobra biblijnego tym sposobem uwolnić. Oczekujemy z niecierpliwością skutku téj próby, będąc przekonani, iż w razie jéj pomyślnego odbycia, wielu małżonków podobnéj operacyi poddać się zechcą.

Dostateczna przyczyna. Przy odbytym niedawno egzaminie, zadał nauczyciel pytanie: »Dla czego w czwartéj prośbie modlitwy pańskiéj prosimy: »daj nam dzisiaj chleba naszego powszedniego« — a nie prosimy »daj nam chleba na cały tydzień, na cały miesiąc, na cały rok?« — Słysząc to pewna mała dziewczynka, uśmiéchnęła się i odrzekła: »Wszakby taki chléb zczerstwiał.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.